Lwów, 7. Listopada. Nr 133. Rok 1854.

NOWINY

Wychodzą we Wtorek, Czwartek i Sobotę. We Lwowie prenumerata roczna 6 Zlr.— półroczna 3 Zlr. — kwartalna 1 Zlr. 30 kr. — miesięczna 30 kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie 8 Zlr.— półrocznie 4 Zlr.—kwartalnie 2 Zlr. m. k.

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza pismem petyt w przedziałce za jednorazowe umieszczenie po 3 kr., za następ. po 1½ kr. i za do płatą 10 kr. stępl. za każdorazowe umieszczenie. Bióro expedycyi w księgarni H. W. Kallenbacha

STARY KOMORNIK.

Helwecyusz utrzymuje, że wszyscy ludzie rodzą się jednakowi, co się tycze zdolności i usposobień, które to dopiero wychowanie późniejsze tworzy i wykształca. Jest to sens moralny niby prawdopodobny, i może zresztą służyć za prawidło ogólne, albo nakoniec może da się zastósować do ojczyzny i czasów Helwecyusza. To pewna że w naszem społeczeństwie mianowicie tem, którego już tylko resztki dogorywają, i które po większej części przez same tylko tradycye znamy, ta ogólna reguła znajduje przynajmniej mnóstwo wyjątków. Są ludzie, którzy zda się rodzą z pewnem już przeznaczeniem, spoczywającem zda się w ich układzie organicznym, by tem lub owem koniecznie byli. Mimo najprzeciwniejszych przeznaczeniu temu warunków, jakie zdybują w pierwszych wrażeniach, w pierwszem otoczeniu i pierwszem wychowaniu, zostają tem, do czego ich pociąga to jakieś ich wewnętrzne usposobienie. Do takich ludzi można zastósować nasze dawne przysłowie, że natura ciągnie wilka do lasu, i w rzeczy samej rodzą się wilki, lisy, osły i niedźwiedzie moralne, których żadne nie przeistoczy wychowanie, i którzy prędzej czy później ruszają do lasu swoich właściwości.

Najdzielniejszy tego co rzekłem, miałem dowód w całem życiu pana Piotra, który urodził się komornikiem. I to nie facecya co powiadam. Naturalnie nie urodził się Komornikus natus, ani też pióra za uchem nie przyniósł na świat, ale ledwie zaczął chodzić, mówić, i jakkolwiek bądź działać na tym świecie, objawiał się istnym komornikiem, w tem oczywiście znaczeniu, w jakiem się zwykle odznaczał za czasów pana Piotra urząd komorniczy u nas. Pan Piotr był tedy podwójnym typem w swoim rodzaju; bo i typem ludzi rodzących się z pewnemi przeznaczeniami, i typem najrzeczywistszym komornika u nas. Wart jest zatem szczegółowej biografii, którą tu czytelnikom moim podać tem więcej mam za obowiązek, że w społeczeństwie naszem było wiele podobnych figur, które nikną już zupełnie, a które piórem odcieniować należy, dla przyszłych obrabiaczy stanu społecznego za czasów naszych. A potem w ogóle nikną już wszelkie odznaczające się szczególnościami typy. Odkąd ludzie wymyślili te wszystkie machiny co ludzi zastępują, zda się że i ludzkość cała poszła za duchem czasu, i zaczęła wydawać ludzi-machiny, a przynajmniej ludzi, mniej więcej jakby za pomocą jednej machiny sporządzonych. Snać Helwecyusz, gdy to cośmy wyżej przytoczyli pisał, był w stanie jasnowidzenia magnetycznego, i pisał duchem proroczym natchniony. I niezawodnie do czasów dzisiejszych da się najlepiej zastósować reguła Helwecyusza, że ludzie rodzą się na jeden wszyscy zakrój. Dawniej lubowano się w ogrodach na sposób włoski i staro-francuski strzyżonych wedle pewnych jednostajnych szpalerowych rozmiarów: dziś kochamy się w angielskich parkach naśladujących przyrodę, ale natomiast typ strzyżonych ogrodów przeszedł w ludzi. Co by nie było, wszystkie takie dawniejsze typy zachować się w pamięci pisanej godzi; a więc przystępuję do pana Piotra.

Że pan Piotr, który był później, żył i umarł komornikiem, —urodził się już komornikiem, najlepiej dowodzi, że całe jego rodzinne i sąsiednie otoczenie, wszelkie pierwotne dziecka i chłopca wrażenia były zupełnie przeciwne i antypatyczne nawet duchowi komorniczemu, jaki się w panu Piotrze od dziecka objawił, i później tak się rzęsiście rozkrzewił, że jest on zaiste godzien, by przeszedł do potomności jako typ komorników galicyjskich, jakich społeczeństwo nasze przez pierwszą połowę wieku naszego posiadało.

Ojciec pana Piotra, pan Jan Wyrwicz generose natus, był szlachcicem całą gębą i mieszkał w okolicy, gdzie najmniej miano pociągu do kruczków prawniczych, bo przeciwnie panowała w niej harmonia niepospolita i koleżeństwo czyli raczej braterstwo, które zdybywać można było często bardzo w życiu szlacheckiem u nas, a nawet można—by je było nazwać cechą prawdziwego życia szlacheckiego po wsiach, życia które także należy już u nas do przeszłości, ledwie tradycyjnie znanej młodemu pokoleniu. Było to życie miłe i wesołe, trochę hulaszcze zaprawdę, pełne szałów dobrych i złych, podległe nieco głupstwom i ciemnocie, ale za to życie poczciwe, serdeczne, wylane dzbankiem, sakwą i orężem dla bliźnich, braci sąsiadów, i najdroższej ojczyzny. To życie prawdziwie szlacheckie gdyby go kto chciał oddać należycie, musiałby był przebiedz sam lub znać z doskonałych tradycyj same najuboższe dworki szlacheckie, nie zaś wielkie dwory i zamki, w których panowały tylko pozorne cechy cnót szlacheckich, jakby owe naśladowania drogich kruszczów, i z których niestety wychodziło to zepsucie, co nam później i nasze

zalety szlacheckie, a za niemi naszą ojczyznę wydarło. W ostatnich mianowicie czasach bytu naszego w pałacach i zamkach rozpostarła się szeroko, każdemu narodowi najszkodliwsza cudzoziemczyzna, a polskość prawdziwa gnieździła się jeno po małych i ubogich dworkach szlacheckich. Lecz cudzoziemczyzna to istna zaraza!.. a zaraza rozejdzie się koniecznie, żadnem usiłowaniem nie wstrzymana.

W końcu roku minionego mieszkał tedy pan Jan Wyrwicz w Fedorówce, wiosce niewielkiej na Pokuciu, którą trzymał od ojca i dziada przez zastaw z majątku oczywiście Potockich, posiadających na Czerwonej Rusi ogromne włości.

Kto zna Pokucie, wie co to za cudowny kraj, i ziemią urodzajną, i uroczem położeniem, i bliskością śniegiem pokrytych gór, i biegiem nareszcie Prutu, tej rzeki zajmującej zarówno historycznością swoich pamiątek, któremi zda się mruczyć w swym szybkim pędzie, jako też i malowniczością wiosek i osad mnóstwa, które po obu jego bokach osiadły i nierozerwanym zda się łańcuchem jakby klomby ogrodowe ciągną się przez przestrzeń kilkunasto milową. Pokucie jest to ona okolica cała nadprucka, granicząca o Bukowinę, którego nazwa wywołała różne historyczno-literackie sprzeczki. Gdy bowiem jedni utrzymywali po prostu, że nazwisko swoje wyprowadza od miasteczka Kutów, drudzy romantyczniejsi etymologowie nowo-historyczni wywodzili nazwę Pokucia od kraju przeznaczonego ongi za czasów wszechwładztwa jeszcze rzymskiego na wygnanie ludzi, mających tam odpokutować swoje przewinienia. Lecz kto zna dziś Pokucie, może znać tylko jego śliczną powierzchowność; duszy dawnego Pokucia znać nie może, bo ta stała się handlową, można-by powiedzieć wolarskę, a nawet wedle nowej statystyki tych, co to emigrantów policzyli jako osobny szczep polski, możnaby Pokucie przezwać nową Armenią, bo ledwie zdybiesz już tam dworek polski, otoczony zewsząd dworami zamożnej szlachty szczepu ormiańskiego. Duszą dawnego Pokucia była polskość szlachecka, ze wszystkiemi swemi właściwościami.

Za czasów pana Jana Wyrwicza, wieś koło wsi, a wszystkie stykały się zagrodami i sercami sąsiedniemi, same były dworki liche, słomą pokryte braci szlachty drobniejszej. Mało tam było dziedziców nawet; po większej części mieszkali tylko dzierżawcy lub zastawniki dóbr Potockich i Kossakowskich. A wszystkie te dworki na mil kilka wkoło łączył węzeł sąsiedzkiej harmonii spotęgowanej to związkami rodzinnemi, to ciągłem i wzajemnem pokumaniem się, które w życiu naszem dawniejszem należało także do związków wiele znaczących, równało się bowiem pokrewieństwu niejako. W okolicy pana Jana Wyrwicza życie było nad wszelki wyraz wesołe i swobodne. Sąsiedzi wszyscy, to sami krewni, przyjaciele, a kumowie. Majątki były niewielkie, a więc nie było zazdrości; a że ziemia na Pokuciu urodzajna, wymagania zaś szlachty nie wielkie, starczyło jakoś im wszystkim na życie pełne swobody, wesołości i gościnnej wszystkich komitywy. Latem czy zimą kulik nie wychodził z obyczajów tamtejszej szlachty, która swój kalendarz na dwoje dzieliła, kalendarz gospodarski mający na względzie cztery pory roku, z przypadającemi na nie robotami gospodarskiemi i z zapiskami krów, i cieląt i na kalendarz sąsiedzki, w którym zapisane były wszystkie imieniny i rodziny, zawsze wspólnie ochoczo i hucznie obchodzone. Dodajmy do tego chrzciny, małżeństwa, pogrzeby i obżynki, a wyznać trzeba że kalendarz ten drugi doskonale był zapełniony. Do wesołości tego życia niemało się i to przykładało, że równie była swoboda po chatach wiejskich jak i po dworkach. Niewiedziano tam co to zatargi z chłopkami, którym działo się dobrze, a więc żyli w świętej z sobą i z panami swymi zgodzie. Mimo wielu przeciwnych w tej mierze zdań by prawdę wyznać, trzeba powiedzieć, że prawdziwa szlachta polska dobrze się obchodziła z wieśniakami swymi, mianowicie póki tej szlachcie samej dobrze się działo. Wypadki uciemiężeń rzadsze wszakże u nas niżeli u ościenych narodów, o których tyle nakrzyczano, trafiały się najczęściej w dobrach wielkich panów, czy to z powodu ich własnej butności niczem nieograniczonej, czy z powodu oficyalistów pańskich gubernatorów i podstarościch, popełniających srogie niesprawiedliwości w imieniu panów, mieszkających czy w stolicy czy za granicą, i żądnych zawsze świeżego grosza, dobywanego z pracy chłopków, a który musiał być tyle znaczny, by i pan miał co trwonić, i oficyalista mógł się bogacić. Prawa polskie były w tej mierze nadzwyczaj sprawiedliwe; możniejsi jak to zwykle bywa umieli one omijać, ale szlachta nasza a przynajmniej część onej większa była wielką praw narodowych czcicielką, i do chłopka swego miała nawet wiele przywiązania rzec by można patryarchalnego. Sumienny badacz naszej przeszłości musi to wyznać, a że wrogowie nasi przypadki nadużyć za stan normalny okrzyczeli, nie powinno nas zadziwiać, gdyż obmowa bywa zawsze jedna z pierwszych nieprzyjaciela broni zaczepnych. Po jakiej drodze stosunek ten patryarchalny pana i chłopa zmieniał się i przechodził w te wszystkie onego epoki które przeżyliśmy, jest przedmiot nadto poważny i obszerny, byśmy go tu w ramki lekkiego szkicu powieściowego pomieścić mogli.

Pan Jan Wyrwicz chociaż najuboższy może w sąsiedztwie, był przecie najwięcej niemal szanowany w sąsiedztwie. Zasługiwał on na to przez istotne swoje zalety, które wszakże nie tyle się do tego przykładały, ile inne jego właściwości. Pan Jan był rubacha niepospolity, obdarzony przytem zdrowym rozsądkiem, dowcipem sowicie pieprznym, i taktem prawdziwie szlacheckim, który nadawało wówczas nasze życie publiczne, wymagające koniecznie pewnej dyplomatyki. Gdzie zajechał, przywiózł z sobą śmiech

i wesołość, które umiał pobudzać opowiadaniami bez końca. Opowiadania jego powtarzały się co do formy, ale co do szczegółów, pan Jan jako prawdziwy myśliwy, wojak i bywalec, miał niewyczerpane źródło konceptów, któremi przerabiał anegdotki swoje. A że za młodu i dworował i wędrował, sejmikował i wojował niemało, łatwo mu przychodziło niestworzone puszczać bąki domatorskiej szlachcie. A że za kołnierz nigdy nie wylał i nigdy się przecie nie upił, świętej zaś zgody w sąsiedztwie przestrzegał jak oka w głowie, jakże nie miał być powszechnie kochany! To też był on wszędzie kumem, wszędzie starostą, wszędzie swatem i serdecznie kochanym bratem. Nakoniec silny, barczysty, dorodny i wysoki, z twarzą na której panował pas i wąs, oba znamienite, ubrany zawsze w żupan, kontusz i pas lity, i zawsze przy potężnej karabeli, musiał mieć wielką i komitywę i powagę w łaskawem sąsiedztwie.

I takiemu ojcu urodził się syn komornik, i do tego w takiej okolicy, w której póki pamięć ludzka sięgała nie było za czasów pana Jana, ani kłótni żadnej, ani procesu, ani najmniejszej kondescensyi, ani nawet sądu polubownego, chyba przy kieliszku, gdy się dwóch antagonistów pokłóciło na to tylko, by uczcić zgodę szczerym a sutym łez i wina wylewem. Że się tak stało to pewna, i należałoby to do cudów policzyć, gdyby nieuwierzyć temu chyba, że kobiety mogą się zapatrzyć moralnie i fizycznie. Chyba więc pani Anna z de Godziemba Kozlickich Wyrwiczowa, siostrzenica cioteczno-stryjeczna po krwi a córka po chrzcie panią Bonawentury de Godziemba Koźlickiego, sławnego niegdyś palestranta lubelskiego, ogromnego Kauzyperdy i precessowicza, o którym mówiono że przeprocesowawszy wszystkie swych klientów majątki, swój własny tą samą drogą przepuścił, i gołym już będąc, wszystkie w świecie trybunały oprymował urojonemi pretensyami swemi;—chyba więc powiadam pani Anna zapatrzyła się na jego wiszący w jej sypialni portret, i przez jaki tajemniczy stosunek rysów twarzy i usposobień przedstawionego palestranta, wraz z niejakiem do niego podobieństwem, przekazała synowi upodobanie w kruczkach prawniczych. Bo że sama nie miała w sobie ani jednej kropelki krwi po panu Bonawenturze, jakkolwiek jej wuju cioteczno-stryjecznym, o tem nie wątpiła cała okolica, której była kumą, siostrą, przyjaciółką, swachą, a prócz tego zawołaną aż w Zabłotowie i Kołomyi lekarką. Cicha, potulna i pokorna, w domu zgodna, wesoła i przyjacielska w gościnie, smażyła sławne konfekta, robiła nalewki cudnego smaku, i preparowała leki na wszelkie choroby możliwe.

Pan Piotr Wyrwicz tem imieniem ochrzony, dla tego że pan Jan miał od najmłodszych lat swoich wielkie nabożeństwo do Śgo Piotra w Okowach, urodził się w późnej jakiejś jesieni roku pańskiego 1779. Dwa wielkie rzadkie i ciekawe zdarzenia odznaczyły dzień jego urodzin. Pierwsze bowiem kwilenie dziecka zdybało się z grzmotem i łyskawicą, niezwykłemi tej pory pojawami. I tegoż samego dnia chłopak ze wsi Fedorówki pluskając się po Prucie za miętusami, złapał szczupaka olbrzymiej i niesłychanej wielkości, i przyniósł zaraz do dworu. Łatwo pojąć, jakie to nieskończone wyprowadzano z tych zdarzeń wróżby, mianowicie gdy się wszystkie zjechały z sąsiedztwa kumoszki i zaczęły przewlekać cały różaniec domysłów, pamiątek i zdarzeń, bądź doznanych bądź też zasłyszanych lub zgrabnie zmyślonych.

— Dodajcie państwo do tego!... zakończyła pani Zagrzebina, wielce światowa kobieta, która była panną respektową u pani Kossakowskiej,— dodajcie państwo, że jakem żywa, nie słyszałam o szczupakach w Prucie.

Coby nie było, to zostało pewniakiem, że grzmot, łyskawica i wielki szczupak w Prucie, zwiastują nowo narodzonemu Piotrusiowi ogromną jakąś i pełną dziwnych a znakomitych zdarzeń przyszłość. Niemniej przeto zamarynowano wielkiego szczupaka, i mimo ogromu jego, zjedzono z kretesem przy chrzcinach Piotrusia, nad którego układnością, cichem nadzwyczaj obejściem się, i rozpatrywaniem się nadzwyczaj rozsądnem, wszyscy nie mogli się dosyć nadziwić.

Piotruś był trzeciem z kolei dzieckiem pana Jana. Miał przed sobą dwie starsze siostry, a po nim było jeszcze dwóch chłopców i jedna najmłodsza dziewczyna. Nie mówiąc więc o nieboszczykach bądź synach bądź córkach, których także było kilkoro; pan Jan Wyrwicz posiadał sześcioro dzieci. A że te żyjące jakoś prawie zawsze rok po roku następowały, więc co do lat i wzrostu nie zbyt wielka była między niemi różnica, i wszystkie zwykle razem bawiły się dzieci między sobą.

Piotruś zawsze rej między niemi wodził. Było to dziecko z dziwnie stanowczem i jak u starego wyrobionem usposobieniem. Co chciał to się stać musiało, a zachciewało mu się ciągle. I to nie jak inne dzieci dochodził swego krzykiem i chimerami, ale przeciwnie cichuteńko, za pomocą obleśnej wytrwałości, którą wszystko wynudził co tylko zażądał. Póty się kręcił koło pożądanego przedmiotu, póty go podziwiał, wzdychał i rozrzewniał nad nim, póty się podchlebiał i pieścił, póki mu go nie dano. I tego systemu używał względem wszystkich, czy to rodziców, czy braci i sióstr, czyliteż względem innych domowników. W tej mierze chciwość jego była bez granic; nie było dość lichego przedmiotu byle był cudzy, żeby go Piotruś nie zapragnął. Pojęcie własności, ale tylko własnej własności, było w nim wygórowane. To też w wieku w którym zwykle inne dzieci nic jeszcze swego nie posiadają, Piotruś miał już mnóstwo rzeczy własnych, które najporządniej składał, chował przed wszystkiemi, nikomu nie udzielał, a w chwilach wolnych cieszył się niemi niepospolicie. Rodzice, jak z ich szkicu łatwo pojąć niezbyt prze-

zorni i rozmyślni, brali to za dowód wrodzonego w nim zamiłowania do porządku, i cieszyli się niem tem więcej, a nawet podziwiali, im mniej oboje byli do wielkiego porządku usposobieni. Jakoż miasto karcić tę szczególną w takiem dziecku wadę, chwalili i pieścili Piotrusia na wyścigi, obdarowując go ciągle nowemi pożądanemi przez niego przedmiotami.

Nie tak rodzeństwo. Bracia i siostry Piotrusia najwięcej cierpieli z powodu tej brata chciwości, bo żadno, żadnej zabawki pokazać i utrzymać nie mogło, zaraz bowiem podobała się Piotrusiowi, który nie spoczął, póki jej nie dostał. W tej mierze był co do rodzeństwa swego tyranem ale nie tyranem w znaczeniu tego słowa gwałtownem. Był tyranem za pomocą wymowy którą wszystko wmówił, a mianowicie, za pomocą słodyczy nudnej jak lukrecya. I nie był on w tym względzie bez dowcipu. Koncepta jego stosownie do potrzeby zmieniały się. Jak tylko doszedł do lepszego pojęcia, rzadziej już używał dawniejszych napierania się wytrwałego sposobów, ale natomiast używał sposobu facyendy, którego bóg wie zkąd się nauczył. I ten sposób doprowadził do wysokiej doskonałości. Tak umiał doskonale swoje zabawki najgorsze, najwięcej już zepsute, swoje śniadania i podwieczorki, w pół już nadjedzone, wychwalać, a ganić pożądane przez się przedmioty, że w końcu otumanił zawsze drugie rodzeństwo i schwycił co mu się podobało. To jego faciendarstwo rozprzestrzeniał on stopniowo, z mniejszych do większych przedmiotów, z własnego domu, poza dom, po wsi, a nawet po dworach okolicznych, gdzie były równowiekowe dzieci. I oczywiście kształcąc się sam pomału w tej sztuce, zawsze i coraz więcej zarabiał.

Było to wszystko niewiele znaczące jeszcze, i ograniczało się na przedmiotach niewielkiej wagi, a przecież powinno było zwrócić uwagę rodziców, i przestraszyć ich zaprawdę. Mianowicie przerażającem była w nim objawienie tej pożądliwości, i okropna ta zimna krew, z jaką odbywał te wszystkie tumanerye. Gdy mu się podobał jaki przedmiot, patrzał na niego okiem tak chciwie wytężonem jakby go chciał połknąć, przyciągnąć do siebie czarującym bazyliszka wzrokiem. Aby go dostać postępował z najzimniejszą obojętnością, której nic poruszyć nie zdołało.

(C. d. n.)

POWRÓT Z NIEWOLI.

Cicho, skwarno i ponuro,
Gdzież pielgrzymie białowłosy
Jak młodzieniec pniesz się górą?
Obok chłodem wioną wrzosy,
I krynice śrebrnolice
Pod puszastych ziół zawojem
Kryształowym dzwonią zdrojem.
Ale wrzosy i krynice
Pielgrzym mija, pnie się dalej,
Choć pot zdrojem zlewa lice,
A lipcowe słońce pali.
I już stanął na wyżynie
Patrzy na dół, łza mu trysła,
Jaką od dziecinnych lat
Z óczu rycerza nie wycisła
Żadna radość, żaden kat.
Buja okiem po dolinie,
Jakby z długich lat ciemnoty
Pojrzał pierwszy raz w świat złoty.
Zgiął kolana, na twarz pada,
Woła: „Witaj ziemio święta”
I jaśnieje mu twarz blada,
Jako dusza wniebowzięta,
Kiedy z ziemskich mąk pościeli
W raj unoszą ją anieli.

Nie Golgoty święte skały,
I nie Rzymu tum wspaniały
Ujrzał pielgrzym tam na dole;
Tam ot tylko zwykłe role,
Do około bory, sioła,—
Niby kawał nieba z chmur,
Staw szeroką falą świeci,
I jak djament świeci dwor,
A w nim jego żona, dzieci,
A te dwie wieżyczek strzegą
Świętych kości przodków ego.
Och ojczysta ty kraino,
Tyś jeńcowi Palestyną!

Hej pielgrzymie, cóż nie bieżysz
Do rodziny, do jedynej?
Czyli w szczęście już nie wierzysz?
Kto żył tyle lat w niewoli,
Niedowierza szczęsnej doli!
Patrzy długo w błękit siny,
Łza mu w oczach znowu gości,
Lecz nie łezka to radości.
„Czy są dzieci? a czy ona
Nie innemu zaślubiona? —
Czy nie przyjmą mię w mym dworze
Jak wieść żywą o upiorze!
Może dawno myślą sobie.
Że już leżę gdzieś tam w grobie!“
Pielgrzym choć gdzie w dóm wstępywał,
O swój dwór nie wypytywał,
Czy nie weszły w jego ściany,
Jakie straszne dlań odmiany?
Serce rade w szczęście wierzy,
Lubi łudzić się nadzieją,
Choć już burzy posły wieją,
I za chwilę grom uderzy.

Pielgrzym pomknął, przybył w dwór,
Lecz nie pyta dworzan chmur,
Jaki pan lub pani domu,
I nie zwierza się nikomu.

W całym dworze, jak we święto,
Kiedy wstąpił w zamku prog,
I najlepszem go przyjęto
Czem obdarzył państwo bog.
Ale pielgrzym starowina
Modlił się, pobłogosławił,
Sam wychylił trochę wina,
Resztę potraw na bok stawił.
W jego oku łza wybłyska,
Lecz nie była łzą boleści;
To radości zdrój wytryska,
Co się w piersi już nie zmieści.—
Co mu teraz napój, strawy,
Choć z dalekiej wraca drogi!
Kędy zwrócił wzrok swój łzawy
Po siedzibie ojców drogiej;
Tyle wdzięku i pamiątek,
Każdy sprzęt ma, każdy kątek!
Wszystko stoi, jako stało,
Nim wyruszył w krwawe pole,
By swe imię okryć chwałą,
A los podał go w niewolę!
Jak mu pośród ścian tych błogo!
Widzi swoją żonę drogą, —
Jeszcze piękna, jeszcze miła,
Jaką niegdyś przy nim była,
Lecz ta piękność nie radośna,
Tylko smutna i żałośna;
Róża to z ogrodów łona
Na pustynię przesadzona.—
I przyjmuje tak pielgrzyma,
Jako ojca tak wesoło,
Lecz lśniącemi on oczyma,
Jeszcze kogoś szuka w koło;
A w tem wbiega do świetlicy
Żwawy chłopak krasolicy,
Na nim lśniący strój kozaczy,
Główka dumna, wzrok junaczy,
A szabelką w lewo, w prawo,
Młyńca, krzyża bije żwawo,
Po komnacie krzyczy, hula.
Ale gdy pielgrzyma zoczy,
Spuszcza szablę, spuszcza oczy,
I do matki się przytula.
— Mamo! kto to?
—Człowiek święty,
Z ziemi owej bóg go zsyła,
Gdzie panuje wróg przeklęty,
Gdzie Chrystusa jest mogiła,
I mogiła ojca twego. —
Po jej licu łzy już biegą
Boleść sparła dalsze słowa,

— O kim, o kim matko mowa?
Pyta pielgrzym, jego—lica,
Takie sine i ponure,
Jako sina błyskawica,
Kiedy z chmury mknie na chmurę.

— O mym mężu, ojcze święty!
Ośm już temu lat przemija,
Gdy wpadł tutaj wróg przeklęty,
Niszczył, tępił jako żmija,
Mąż mój z bracią ruszył w pole,
I nie wrócił, wpadł w niewolę.
Jam posłała okup mnogi —
Ale poseł w moje progi
Wrócił z wieścią, że nie żyje;
Nie wierzyłam ja posłowi,
W łzach upływał dzień po dniowi,
Płynął miesiąc i dwa lata,
Nie pocieszył mię w boleści
Żaden pogłos lepszej wieści;
A w majątku ciężka strata,
Cóż kobieta biedna może?
Miałam tutaj przyjacieli,
Ale w krótce się o boże!
Przemienili w wielbicieli.
I na dwór mój najeżdżali
Z słodkiem słowem, ale dalej
Najeżdżali i z orężem.
Dzisiaj z drugim moim mężem
Choć o tyle'm już spokojna,
Że skończona z braćmi wojna
I dla syna pozostanie
Ojców jego mienie całe;
I jej słowa przeszły w łkanie.

Pielgrzym lice skamieniałe
I wzrok podniósł ku swej żonie,
Co się zdaje, we łzach tonie,
I zapytał jakoś rzewnie:
Czy wiedziała o tem pewnie,
Że mąż pierwszy poszedł w grób,
Nim powtórny wzięła ślub?
A w tym syn się rąk pielgrzyma
Jak rąk ojca swego ima.

— Wiesz co?—mówi, mnie się śniło,....
Że gdzieś z dali jakby w męce
Ojciec do mnie wznosił ręce,
A tak patrzył tęskno, miło! —
O! na pierwszą, drugą wiosnę,
Gdy choć trochę ja podrosnę,
Wezmę zbroję, wezmę konia,
I pogonię w stepów błonia,
O! nie wierzę ja w niczyje
Wieści, ojciec jeszcze żyje!
Chcę zasłużyć imię syna,
Zbawię ojca z rąk Turczyna!

W tem go pielgrzym rwie w ramiona,
Ciśnie do ust i do łona:

— Jam twój ojciec, synu luby!
Sam bóg spełnia twoje śluby!
Krzyknął lecz uczucia strona
Długim bólem przestrojona
Pękła, gdy radości siła
Tak potężnie uderzyła.
Serce pękło, pielgrzym pada,
Śmierć na jego licu siada,
Szczęsny pielgrzym! Między swemi
Umarł na ojczystej ziemi.

P. K.

Angielska izba niższa.

(Ciąg dalszy)

Galerye, jedna z najważniejszych części sali, rospadają się na kilka oddziałów. Jedna galerya z dwoma rzędami ławek otacza salę z dwóch boków i przeznaczona dla deputowanych; z tej galeryi prowadzi kilka drzwi do pięknych pokojów, gdzie panowie prawodawcy pokrzepić się, pisać, czytać i wygodnie zabawić się mogą. Nad ową baryerą mosiężną wznosi się inna galerya, głęboko w tył posuniona. Tam zasiada ciało dyplomatyczne i inne znakomite osoby, niekiedy i parowie tam przybywają. Za tą galeryą jest wielkie miejsce, zwane galeryą marszałkowską, którą sam marszałek rozrządza, dalej galerya dla obcych, którzy wykazać się mogą przepustką od którego z deputowanych. Ta część przytyka już do ściany. Zaś najważniejsza dla narodu galerya, tak zwana reporterów, wzniesiona nad samem krzesłem marszałkowskiem. Galerya dla dam wzniesiona nad reporterami, wciśniona w mur nakształt framugi, z trzema rzędami ławek i kilką przedpokoikami. ale cała przed okiem mężczyzn zasłoniona kratą żelazną, przez którą wprawdzie wszystko widzieć i nieco słyszeć można, ale jednakoż miejsce to damom nie bardzo musi do gustu przypadać, bo często jakby na przekor mowcom, a szczególnie reporterom odzywają się z poza krat chichoty i gwary.

Do tej sali głównej należą jeszcze dwie inne, przypierające do ławek deputowanych; w sali zachodniej zgromadzają się ci członkowie prawodawstwa, którzy za wnioskiem—w wschodniej zaś, którzy przeciw temuż głosują. Za krzesłem marszałka są jeszcze dwa pokoiki. jeden dla członków gabinetu dla naradzania się podczas obrad, drugi taki sam dla członków stronnictwa opozycyjnego. Trzecie drzwi za krzesłem marszałka prowadzą do prywatnego pomieszkania jego, bibliotekarza, sekretarzów i sergeanta at arms.

W sali sejmowej okna nigdy się nie otwierają, i sposób w jaki tam przewietrzenie się odbywa, zasadza się głównie na odcięciu powietrzu zewnętrznemu wszelkiego przystępu. Za to napływa przez małe dziureczki w posadzce za pomocą maszyny powietrze ciepłe i zimne, a na około sali mnóstwo jest termometrów i urzędników, którzy uważają, aby temperatura była jednakowa. Ale nim ciepło i zimno w górze się zrównoważy, przeciągają pojedyncze prądy powietrza nasamprzod przez nogi deputowanych, co zdaje się nie bardzo przyjemnie na kości działać musi. Prócz tego maszyna jest w ruchu tylko podczas posiedzeń, dla tego więc przed odemknięciem sali zbiera się tam powietrze zgniłe, nieczyste i stęchłe, jak w ciemnej i głębokiej pieczarze.

Do pół do czwartej po południu sala sejmowa wygląda jak teatr w dzień, pusta, cicha, zamieciona; wszystkie obrady odbywają się wieczorem i w nocy, bo członkowie parlamentu płacy nie pobierają żadnej, w dzień więc muszą za swojemi sprawunkami się uganiać, przyjmować wizyty od wyborców, a ci, którzy na utrzymanie swoje pracować nie potrzebują, siedzą u źwierciadeł lub odwiedzają swoje kluby. Nakoniec członkowie wybrani z parlamentu do różnych prac wydziałowych, zatrudnieni są od 11—4 godziny.

Jeżeli ważne jakie mają się toczyć obrady, wtedy deputowani spieszą do sali na modlitwę, ale nie z pobożności, lub żeby wezwać ducha świętego, lecz aby mogli sobie obrać miejsce, jakie się im podoba, gdyż po modlitwie przywilej ten ustaje. Innym czasem przybędzie zaledwie kilkunastu członków. O trzy kwandranse na czwartą w perukach i talarach wchodzą sekretarze, po pięciu minutach krzyczy woźny: «Pan marszałek», wszyscy członkowie wstają, odkrywają głowy, sergeant at arms kładzie na stół buławę, kapelan odmawia modlitwę, poczem drzwi się otwierają, i marszałek poczyna liczyć obecnych członków izby niższej, a gdy z nim razem znajdzie się czterdziestu, siada pod swoim baldakimem, na znak że izbę, to jest sesyą otworzyć można. (C. d. n.)

Rozmaitość.

* **Z nad ujścia Wisłoki 15.** Październ. **1854.** (Dokończenie.)

W czasie mojej bytności było zgromadzenie Towarzystwa gospodarskiego; załuję że nie będąc jego członkiem nie mógłem na posiedzeniu być obecnym, tem bardziej, że na obecnej sessyi radzono podobno nietylko jak zwykle o holenderskiem bydle, turnipsach i brzankach i t. p. ale oprócz pomysłów o zaprowadzeniu 36. a nawet i 72 polowych płodozmianach, mówiono nad sposobami uzyskania rąk, które nie tylko do turnipsu i brzanek, ale nawet do najprozaiczniejszego staropolskiego owsa, (co teraz droższy od brzanki i turnipsu) potrzebne. Dla zbyt słabego zdrowia prezesa,na które jak mi mówiono często zapada, posiedzenie podobno nie zupełnie ukończone. —

Zacząwszy moją korespondencyą wiadomością o teatrze, nie mogę pominąć iż byłem kilka razy na przedstawieniach niemieckich w Krakowie. Trzeba wam bowiem wiedzieć, że teatr w Krakowie pod dyrekcyą p. Gaudeliusa może pojść w zapasy z najpierwszemi europejskiemi scenami, t. j. nie co do doboru artystów, bo do tego nawet Kraków rościć sobie prawa nie może, ale co do wyboru sztuk przedstawionych. Audaces fortuna juvat. Na scenie krakowskiej ujrzysz Mayerbera, Betovena, Mozarta, Rossyniego, Szekspira, Gutzkowa, Laubego, a muszą przedstawienia zadawalniać publiczność, kiedy prawie na każdym afiszu widać: „Auf allgemeines Verlangen," chociaż to Verlangen nie musi bydź bardzo powszechne, teatr bowiem zawsze pusty, a i dziwić się niema czemu, bo prócz Lehfelda, Hessinga i panny Stummer, co mogą w komedyi być mile widzianemi, towarzystwo miejscowe tylko przejeżdzającemi talentami się pokrzepia. Na przedstawieniu Uriela Acosty p. dyrektor sam dowiódł że nie zna szkoły dramatycznej, przyjąwszy bowiem rolę Uriela, chociaż dał dowód, że ma organ nie pospolity, z autorem zawsze był jak to mówią: «jeden do lasa, drugi do sasa," bo tam głos podnosił, gdzie autor zapewne sobie tego nie życzył.

Oto macie krótki rys mego pobytu w Krakowie, a teraz opiszę wam powrót do domu. Jak wiecie w Krakowie tylko dziewięć osób na eilwagen przyjmują, zdarza się zatem że kilka dni czekać trzeba na miejsce, ja byłem szczęśliwszy bo tylko dwa dni strwoniłem. Ruszyliśmy zatem o 1. godzinie z południa, miałem miejsce w kabryolecie. W powozie siedziały damy, do Wieliczki zajechaliśmy szczęśliwie, lecz gdy tam zamiast pocztyliona krakowiak w siermiędze brał się do zagrzewania czterech chłopskich koni, usłyszałem piskliwy głos wychodzący z powozu «Um Gotteswillen! in diesem Bärenlande wird uns der verfluchte Polak umwerfen." Co do mnie będąc na nieszczęście takim przeklętym polakiem, nieodzywałem się zupełnie, ale moj towarzysz w kabryolecie roztczulony zapewne rodzinnym językiem, upewnił tę damę, że ón będąc mocnym w mowie krajowej będzie kierował woźnicą. Mój towarzysz należał zapewne do owych, których nazwiska zwykle na r się kończą. Był to Prusak ze Szląska. Jechał do tej jakją zwał Scandalicyi uczyć nas rozumu; kiedyśmy zatem ruszyli zaczął ciągle krzyczeć na poczciwego woźnicę „ti klop pohaniaj tamtego perwoniego, u tego pry zadu" a na koniec gdyśmy zajechali pod górę biskupią, mój poczciwy mentor chwycił za korbę od hamulca i koło zahamował. Myślał zapewne nieborak, że w tym kraju niedźwiedzim, co tylko w górę idzie, trzeba zahamować. Patrzyłem cierpliwie na to, a poczciwe polskie szkapy ledwie mogły do góry wyciągnąć; gdy jednak z góryśmy się spuszczali a mój towarzysz właśnie chciał koło odhamować, zadrzałem o moje kości i polsko-niedźwiedzią łapą go od tego wstrzymałem. — Tak skompromitowany zagraniczny mój kolega zasnął szczęśliwie i przespał kolacyę w Brzesku, co mu zapewne nie zaszkodziło, bo jeśli mu «verfluchter Polak» zębów nie wybił, byłby się może postradał na twardym niemieckim rozbratlu — W Pilznie staliśmy godzinę, bo nasz pocztylion zgubił batóg i czekał aby się rozwidniło, by batóg odszu-

kać — nie dziwcie się zatem, że kiedy lubo 6 godzin później przyjechałem do Dembicy, gdzie był kres mojej podróży, z największą radością pożegnałem moją bojaźliwą niemkę i przedsiębierczego niemczyka, a powiedziałem sobie, że odtąd w tym kraju niedzwiedzi pocztowemi eilwagenami, które się teraz weilwagenami nazywać powinny, już nigdy jeździć nie będę.

* **Z nad ujścia Wisłoki**, dnia 1. listopada. Parę miesięcy temu, rozwodziłem się w mojej korespondencyi dosyć szeroko, o liwerunkach w Galicyi; szanowny kolega z Złoczowskiego jeszcze ten przedmiot lepiej wyjaśnił.

Parę miesięcy w dzisiejszych czasach, gdzie wydarzenia jak w szeine katarynce prędko się zmieniają, gdzie wszystko co w Europie się wydarza, zastósować można do znajomej piosnki ułana: „Dzisiaj tu, jutro tam" kwestya liwerunku została «beim alten.» I nie dziw, bo łatwiej zdobyć Sebastopol, łatwiej zniszczyć flotę czarnomorską, jak wpływ żydów w Polsce, co od Kazimierza wielkiego aż po obecne czasy jak pijawki wysysają wszelkie siły krajowe.

Otrzymaliśmy wprawdzie wezwania, aby podawać oferty podług których życzymy sobie zboże do magazynów cesarskich dostawiać. Wielu z nas te oferty podało, ale na nie żadnej odpowiedzi nieotrzymawszy, znowu cierpliwie patrzeć musimy, jak żydzi zarabiać będą, a szlachta czyli więksi producenci, potem czoła, wylaniem żółci i ostatnim groszem okupioną swoją pracę w ręce próżniaczej ligi brodatych spekulantów oddać są zmuszeni.

Na wieść o wzwyż wspomnionych offertach żydki pospuszczały trochę nosy na kwintę, ale *est modus in rebus*, jak zaczęli szlachtę straszyć, że rząd nie zapłaci, że jak przyjdzie do odstawy, urzędnicy magazynowi przywykli do pogadanki z żydami, gdy ich nie będzie, nie będą mogli z kim gadać, i tysięczne trudności przy odbiorze czynić będą, tak też szlachta, co jak wiadomo nie bardzo stała w swoich przedsięwzięciach i nieumiejąca handlować, zaczęła się wahać i albo wygórowane nadto ceny podała lub też położyła warunki, na które rząd przystać nie mógł, to jest żądali przymusowej odstawy, to jest forszpanów, odbioru na miejscu i t. p.

Z tego wypływa, że znowu rząd drożej płacić będzie żydom musiał, a nie ochroni się od straty, jakie na zwykłych szacherstwach żydowskich zawsze ponosi; słowem że rząd i pierwszy producent nie mogąc się obejść bez trzeciej osoby jaką jest spekulant, całą korzyść w ręce tej trzeciej osoby oddać będzie musiał.

Zdawałoby mi się jednak najstosowniej, aby:

1) C. k. magazyny ogłosiły pewne stałe ceny, według których od każdego zboża do magazynu przyjmować będą.

2) Aby w magazynach zaprowadzono kontrolę, która by niepozwoliła *sekować* tych, co nie chcą *ubocznych korzyści*.

3) Aby magazyny przez wzgląd na to, że producent dostawione zboże już pewnie w $^{3}/_{4}$ częściach opłacił i potrzebuje zatem grosza za zboże dostawione bez zwłoki wypłacały.

4) Aby interymalne kwity magazynowe przyjmowane były w podatkach, pożyczce i t. p. wypłatach dla rządu.

5) Najważniejszem jest, żeby ferwaltery, oberbeki chcieli uwierzyć że jako dzieci jednego pierworodnego ojca Adama, choć nie święcimy szabasu, zasługujemy na uwzględnienie i sprawiedliwe obejście się przy odbieraniu zboża! W celu tym najlepiej by było aby urzędnicy obwodowi byli dodanemi, bo wiadomo że dawne nawyknienia nie tak się łatwo dają wykorzenić.

* **Przemowa do płci pięknej**. Michelet w «Les Femmes de la Revolution» przemawia w obecnej chwili do pięknych czytelniczek w następujący sposób: „Córy z czasów długiego pokoju, od roku 1815 nieprzerwanego! chciejcie poznać stanowisko wasze. Widzicie tam owe czarne chmury, których łono już pęka. Słyszycie jak pod stopami waszemi rozpada się ziemia, jak dudnią podziemne wulkany? To przyroda się skarży! Stęchły ten spokój, w którym tak błogo marzyłyście, ciężył jak zmora na piersi narodów, dziś już się kończy; dziękujcie Bogu, że zdjął pieczęć ołowianą, pod którą ludzkość konała. Dziś jesteście w tem samem trudnem położeniu, w którem były matki nasze za czasów owych walk olbrzymich, patrzajcie więc, jak one przebyły dnie próby! One z siebie ofiary nietylko spełniały, ale same ich szukały. Los z dobytym na nie puszczał się mieczem, myśląc, że się słabe przelękną, a znalazł je silne, na licu ich igrały uśmiechy i na ich ustach skargi nawet nie było. I wasze może brwi nie zadrgają w chwili trwogi i niebezpieczeństwa, ale czy podołacie wyrzec się wygódek i dostatków waszych, gdy dłużej potrwa przykre położenie? Czy potraficie wyrwać się z czarującego koła niepotrzebnych przyjemnostek waszych, w których ponoś obecnie całą upatrujecie kobiety poezyą? Na ofiarach świat stoi, ofiara jest owym punktem Archimedesa, na którym się oparłszy czas ruszyć można. Ale ofiara nie jest wynikiem powinności, lecz kwiatem i owocem miłości. Ale świat dziś jest lodownią, sobkostwo i spekulacya jest żywiołem jego. W tym świecie miłość przebywa tylko w łonie niewiasty. Dziewica kocha dzień jeden, niewiasta całe życie kocha."

* **Ludzie z ogonami.** Sławny w dziejach bój Gwelfów i Gibelinów ponoś się powtórzy, i to w łonie wielkiego i poważnego zgromadzenia naukowego akademii umiejętności w Paryżu. Gouret, podróżujący na koszta rządu francuzkiego, opowiada i dokładnemi opisami stara się udowodnić, że gdzieś w głębi Afryki, w nieznanych dotąd światu górach żyje naród, czyli raczej jakiś rodzaj ludzi, tworzący przechód od ludzi do małp. Stworzenia te, twierdzi Gouret, chodzą prosto, skórę mają gładką, mówią i t. p. jak ludzie, ale mają oprócz wszystkich tych znamion człowieka jeszcze ogon małpi. Nie jest to żart; rzecz tę przed ow parlament umiejętności już po drugi raz wytoczono, parlament rozpadł się na dwa stronnictwa, jedni wierzą, drudzy chcą dowodu, a dowód daleko w głębi Afryki.

* W niedzielę wieczór duchowieństwo obrządku grecko-katolickiego mając na czele JW. biskupa Bocheńskiego odbyło uroczystą procesyą jubileuszową z archikatedry u św. Jura do archikatedry obrządku łacińskiego kościoła OO. Dominikanów i archikatedry Ormijańskiej, przy świetle rzęsistem. Śpiewy wykonane były bardzo pięknie, a pobożnych było bardzo wiele.

* W niedzielę dnia 5. b. m. nasz najdostojniejszy Arcyksiążę Karol Ludwik odbył swoje jubileuszowe modlitwy w archikatedralnym kościele od 1. godziny do 2. z południa.

* Wczoraj dnia 6. b. m. w rocznicę zgonu ś. p. Jego Królews. Mości Arcyks. Ferdynanda Este c. k. feldmarszałka i gubernatora Galicyi, odbyło się żałobne nabożeństwo w kościele św. Piotra. Chorały żałobne odśpiewali członkowie i uczniowie towarzystwa muzycznego pod dyrekcyą kapelmistrza Smaciarzyńskiego.

* W następującą niedzielę dnia 12. b. m. będzie rozdawana, na placu przy kawiarni na górze Franciszka Józefa, odzież zimowa dla chłopców którzy są ustanowieni do utrzymywania czystości wszystkich chodników jako też i dla ludzi do ogrodu przeznaczonych. Poczem nastąpi mała uczta. Kilkudziesięciu amatorów przechadzek po piaskowej górze złożyło się na tę odzież zimową i na ucztę dla chłopaków. którzy odtąd i przez całą zimę zamiatać będą chodniki, aby i śród pogodnego dnia zimowego można tam używać spaceru.

* Do miast obwodowych dziś już warownych Przemyśla i Zaleszczyk już są zanominowani przez Najjaśniejszego Pana jenerałowie komendanci twierdz.

* Pożary nieustają w naszym kraju; tak donoszą, że w Słobodzie w obw. tarnopolskim, na d. 29. z. m. wszczął się pożar, i spaliło się między innemi 29 koni cesarskich, a 23 jest uszkodzonych.

Przyjechali od dnia 3. do 5. listopada do Lwowa:

PP. Łączyński Hipolit, z Liska. Mier Henryk, hr. z Buska. Dzieduszycki Kazimierz, hr. z Niesłuchowa. Kozicki Aleksander, z Bilczego. Malczewski Stanisław, z Cześnik. Wronowski Antoni, z Jaśnisk. Paygert Stanisław, z Krzywenki. Koch Ernst, z Dąbrowicy. Brunicki Ludwik i Jakób, br. z Gorajec. Papara Henryk, z Zubowych mostów. Siemiński Konstanty, hr. ze Żółkwi. Augustynowicz Bolesław, z Lubienia. Augustynowicz Seweryn, z Krakowa.

PP. Trzciński Emilian, z Brodów. Potocki Stanisław, z Brzeżan. Pawłowicz Feliks, z Lubaczowa. Pierzchała Ignacy, z Uszkowic. Golejowski Kornel, hr. z Krzywczy. Grocholski Juliusz, z Angielówki. Borowski Egidyusz, z Turki. Siemiński Wilhelm, hr. z Jarosławia. Skarbek Jan, hr. z Mościsk. Ortyński Rudolf, ze Stryja.

PP. Rogalski Kazimierz, z Brzeżan. Wysocki Florjan, z Hrehorowa. Krajewski Nikazy, z Turzego. Papara Stanisław, z Dolnicza. Duchnowski Piotr, ze Żółkwi. Hausner Otto, z Reytarowic. Tatarkowski Alojs, z Drohomyśla. Babecki Leon, z Wielkich Oczów. Radziejowski Edward, z Jaworowa. Szeliski Kazimierz, z Chodaczkowa.

Wyjechali od dnia 3. do 5. listopada ze Lwowa:

PP. Mokrzański Emil, do Krzyszczatka. Łączyński Józef, do Tarnopola. Stojałowski Juliusz, do Podhajec. Wiszniewski Piotr do Tarnopola. Lipczyński Adolf, do Złoczowa. Łodyński Ignacy, do Przemyśla. Zardecki Konstanty, do Teysarowa.

PP. Horoch Seweryn, br. do Moraniec. Micewski Konstanty, do Miekisza nowego. Rylski Edward, do Ostrowa. Mrozowiecki Stanisław, do Sokołówki. Kozłowski Eustachy, do Malawy. Niezabitowski Władysław, do Koropusza. Garapich Władysław, do Podhajec. Lubomirski Adam, książę do Krakowca.

PP. Pierzchała Ignacy, z Uszkowic. Gizowski Jan, do Komarna. Morawski Konstanty, do Pohorca.

Kurs telegrafowany z Wiednia 6. b. m. o g. 2 po połud.

Amszterdam.	$103\frac{1}{2}$.	Medyolan za 300 lirów	$122\frac{1}{4}$.
Augsburg za 100 złr.	125.	Paryż za 300 franków	$144\frac{1}{4}$.
Bukareszt	—.	Agio duk. ces.	—.
Frankfurt za 120 złr. podług $24\frac{1}{2}$ stopy . . .	$123\frac{1}{2}$.	Srebra agio	25.
		Pożyczka 5% $83\frac{5}{8}$. $4\frac{1}{2}$	—.
Genua.	—.	Pożyczka lit. B.	—
Hamburg za 100 tal. banco.	$90\frac{3}{4}$.	Akcye banku . . .	1229.
Konstantynopol	—.	Kolej północna . . .	1765.
Liwurno.	—.	Obl. ind.	76.
Londyn za 1 funt szterl.	12. —.	Nowa pożyczka z loteryą	$97\frac{15}{16}$.
Marsylia	—.	Pożyczka narodowa . .	$87\frac{7}{8}$.

Dzisiejszy. Kurs lwowski.

	Gotówka				towarem			
Dukat holenderski	złr.	5 kr.	46	złr.	5 kr.	50.
Dukat cesarski	„	5 „	50	„	5 „	53.
Półimperyał zł. rosyjski	„	10 „	7	„	10 „	10.
Rubel srebrny rosyjski	„	1 „	57	„	1 „	58.
Talar pruski	„	1 „	50	„	1 „	51.
Polski kurant i pięciozłotówka	„	1 „	25	„	1 „	26.
Galicyjskie listy zastawne za 100 złr. bez kuponu	„	85 „	40	„	86 „	—.

Obligacye indemnizacyjne bez kuponu 73. 50 do 74 Złr. 15 kr.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**